Bp Erik Varden OCSO

SAMOTNOŚĆ PRZEŁAMANA

w drodze

BP ERIK VARDEN OCSO

Samotność przełamana

Przełożyła Eliza Litak

WYDAWNICTWO W DRODZE, POZNAŃ 2022

Tytuł oryginału
The Shattering of Loneliness: On Christian Remembrance
© Erik Varden 2018
This translation of *The Shattering of Loneliness* is published by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc.
© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2022

Redaktor prowadzący – MICHAŁ GOLUBIEWSKI OP
Redakcja – KATARZYNA SMARDZEWSKA
Korekta – PAULINA A. GRUBEK, KATARZYNA SMARDZEWSKA
Skład i łamanie – PILCROW STUDIO
Redakcja techniczna – JÓZEFA KURPISZ
Projekt okładki i layoutu – KRZYSZTOF LORCZYK OP
Grafika (s. 2) – PETER HENRY EMERSON, *Cantley: Wherries Waiting for the Turn of the Tide* (fragment), ze zbiorów Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku | www.metmuseum.org

ISBN 978-83-7906-534-9 (wersja drukowana)
ISBN 978-83-7906-535-6 (wersja elektroniczna)

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.
Wydanie I
ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań
tel. 61 850 47 52
sprzedaz@wdrodze.pl
www.wdrodze.pl

Spis treści

WPROWADZENIE — **7**

ROZDZIAŁ PIERWSZY: Pamiętaj, że jesteś prochem — **19**

ROZDZIAŁ DRUGI: Pamiętaj, że byłeś niewolnikiem w ziemi egipskiej — **39**

ROZDZIAŁ TRZECI: Miejcie w pamięci żonę Lota — **61**

ROZDZIAŁ CZWARTY: To czyńcie na moją pamiątkę — **85**

ROZDZIAŁ PIĄTY: Paraklet przypomni wam wszystko — **105**

ROZDZIAŁ SZÓSTY: Strzeż się, byś nie zapomniał o Panu — **127**

POSŁOWIE: *In memoriam* — **153**

UWAGI DOTYCZĄCE TEKSTU I ŹRÓDEŁ — **159**

SPIS ILUSTRACJI — **167**

SPIS TREŚCI — **169**

ROZDZIAŁ CZWARTY

To czyńcie na moją pamiątkę

Kiedy Chrystus sformułował nakaz przebaczania po siedmiokroć – który to „przelicznik" w Ewangelii Mateusza (18,22) został jeszcze pomnożony przez dziesięć – nie tylko wyznaczył On niewzruszony standard etyczny, ale też w istocie zdjął przekleństwo ciążące nad ludzkością od początku czasów. Po raz pierwszy zostało ono wyrażone w czwartym rozdziale Księgi Rodzaju, dokumentującym początki dziejów człowieka już poza ogrodem Eden. Ten liczący dwadzieścia sześć wersetów rozdział opisuje wybuch przemocy, który rozpoczął się od zabójstwa dokonanego przez Kaina, zakończył zaś przerażającymi słowami wypowiedzianymi przez Lameka pięć pokoleń później (RDZ 4,23–24). Hebraiści twierdzą, że wersety te należą do najbardziej starożytnych części Starego Testamentu:

> Słuchajcie, co wam powiem, żony Lameka.
> Nastawcie ucha na moje słowa.
> Gotów jestem zabić człowieka, jeśli on mnie zrani,

i dziecko – jeśli mi zrobi siniec!
Jeżeli Kain miał być pomszczony siedmiokrotnie,
to Lamek siedemdziesiąt siedem razy!

Lamek – którego skłonność do zemsty znalazła kolejne możliwości realizacji dzięki jego synowi – Tubal Kainowi, będącemu „kowalem, sporządzającym wszelkie narzędzia z brązu i z żelaza" (RDZ 4,22) – wyznaczył standard, który okazał się nieomal powszechnym. Współcześnie bardziej niż kiedykolwiek widzimy jego urzeczywistnianie. Brutalne oświadczenie Lameka, wygłoszone u samych początków cywilizacji, niezwykle współbrzmi ze sformułowaniem zapisanym w liście, który otrzymałem w 2016 roku od człowieka muszącego wówczas znosić nieustanne nocne bombardowania Aleppo:

> Ponadto nie pojmuję, dlaczego muszą walczyć w nocy. Być może dlatego, że stanowi ona najbardziej odpowiednią scenerię dla tej bezsensownej wojny. To w ciemnościach panuje król tego świata i ogłasza swe prawo, którym jest przemoc.

W takim właśnie świecie żyjemy. Bóg zstąpił, by ten właśnie świat zbawić. Świat, za który cierpiał Chrystus, nie był jakimś wytworem fantazji. Jezus nie miał co do niego żadnych złudzeń. Dobrze wiedział, co wycierpi po wkroczeniu na terytorium należące do Lameka. W tę noc, w którą został zdradzony, antycypował wydarzenia mające doprowadzić do Jego śmierci. Uczynił to za pomocą symbolicznego aktu, mającego za scenerię posiłek. Pozwolił, by Jego przyjaciele w pewien sposób mieli udział w zbliżającej się ofierze, choć znaczenie Jego gestów i słów stało się dla nich zrozumiałe dopiero o wiele później. Po dziś dzień Kościół powtarza te gesty i słowa, by dać wyraz „tajemnicy wiary" – tajemnicy, dzięki której możliwe jest wielokrotne przebaczanie. Ukazuje nam

ona nowy sposób bycia człowiekiem: sposób Chrystusowy, który mamy uczynić swoim własnym. Za każdym razem, gdy chleb i wino są uświęcane, przywoływany jest Chrystusowy nakaz: „To czyńcie na Moją pamiątkę". Od najwcześniejszych czasów Kościół miał pewność, że Eucharystia – jeśli jest należycie odprawiana – przemienia istotę wykorzystywanych w niej materialnych elementów, tak że kapłan przed komunią może ukazać je wiernym jako Ciało i Krew Chrystusa, ci zaś mogą to potwierdzić słowem „Amen". Święty Ignacy Antiocheński niedługo przed swą męczeńską śmiercią (która nastąpiła mniej więcej w 107 roku) określił przełamany i rozdawany Chleb mianem „pokarmu nieśmiertelności, lekarstwa pozwalającego nam nie umierać, lecz żyć wiecznie w Jezusie Chrystusie".

Ustanowienie ostatniej wieczerzy jest przez Kościół wspominane po zapadnięciu zmroku w Wielki Czwartek. Celebra ta rozpoczyna Triduum Chrystusowej męki, śmierci i zmartwychwstania. Liturgia odprawianej w tym dniu mszy stanowi kompendium teologii eucharystycznej. Może nam ona pomóc w uchwyceniu znaczenia tego szczególnego upamiętnienia. Jego ogólne ramy zostają zarysowane w kolekcie:

> Sacratissimam, Deus, frequentantibus Cenam, in qua Unigenitus tuus, morti se traditurus, novum in saecula sacrificium dilectionisque suae convivium Ecclesiae commendavit, da nobis, quaesumus, ut ex tanto mysterio plenitudinem caritatis hauriamus et vitae.

> Wszechmogący, wieczny Boże, obchodzimy pamiątkę Najświętszej Wieczerzy, podczas której Twój Jednorodzony Syn, mający się wydać na śmierć, pozostawił Kościołowi nową wiekuistą Ofiarę i Ucztę swojej miłości, spraw, abyśmy z tak wiekuistego misterium czerpali pełnię miłości i życia.

W tekście łacińskim uwagę zwraca czasownik *frequentare*. Odnosi się on do systematycznego uczestnictwa w czymś. Ofiara ta jest przez nas upamiętniana wielokrotnie, lecz zawsze pozostaje wyjątkowa, jest ona bowiem nowa na wieki. Cechuje się nowością nie tylko ze względu na swe początki. Nowość jest dla niej czymś organicznym, wiążącym się z pewnością, że Chrystus – swym niejako Midasowym dotknięciem – czyni wszystko nowym (por. AP 21,5): nikt i nic, doświadczywszy Jego obecności, nie pozostaje takim samym. Stwierdzenie, że powierzył On Kościołowi Świętą Wieczerzę jako „Ucztę swojej miłości", odsłania wiekuistą nowość tej miłości jako realnej obecności. Każda celebracja Eucharystii dokonuje się niejako po raz pierwszy. Nie jest ona „powtórką przedstawienia", lecz ponownym uobecnieniem premiery. Przychodzimy do ołtarza nie jako konsumenci pewnego tajemniczego środka leczniczego, ale jako uczestnicy zbawczego wydarzenia.

Strukturę tej modlitwy wyznacza pewien zasadniczy kontrast. Wspomniana w jej pierwszej części śmierć Chrystusa w drugiej zostaje uznana za źródło naszego rozkwitu. Śmierć Jezusa udziela nam „pełni miłości i życia". Obfitość ta wypływa ze wspólnego uczestnictwa w sakramencie, lecz nie pozostaje zamknięta w ramach samej celebracji. Zajmując nasze miejsce w tym tyglu, poprzez który śmierć zostaje przekuta w życie, wkraczamy w „nowe i wieczne" przymierze, uobecniane w liturgii. Ogłaszamy wówczas: „Tak, ja również pragnę żyć i umierać w taki właśnie sposób". Przesłanie to jest wprost wyrażone w Ewangelii odczytywanej w Wielki Czwartek. Jezus stwierdza w niej: „Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem" (J 13,15). W dalszej części mszy, podczas obmywania stóp, zgromadzenie śpiewa: „Miłujcie się wzajemnie, tak jak Ja was umiłowałem" (por. J 13,34).

Zgodnie ze stosowanym przez Jana słownictwem oznacza to miłość „do końca" (J 13,1), pociągającą za sobą najwyższe konsekwencje. We wszystkim tym chodzi nie tylko o powtarzanie pewnego rytuału. Zostajemy skonfrontowani z tym wzorem, którym jest całość życia i śmierci Chrystusa, i słyszymy: „Idźcie i czyńcie podobnie" (por. ŁK 10,37).

Podczas ofiarowania chleb i wino zostają przyniesione do kapłana. Ten kładzie je na ołtarzu, recytując przy tym modlitwę dziękczynną. Dary zostają okadzone na znak ich uświęcenia. Kapłan obmywa swe ręce, prosząc Boga, by oczyścił go z jego osobistych grzechów. Następnie zaś odmawia modlitwę:

> Concede nobis, quaesumus, Domine, haec digne frequentare mysteria, quia, quoties huius hostiae commemoratio celebratur, opus nostrae redemptionis exercetur.

> Prosimy Cię, Panie, dozwól nam godnie się zbliżać do tych tajemnic, ilekroć bowiem obchodzimy pamiątkę tej ofiary, spełnia się dzieło odkupienia naszego.

Ewidentnie widać, że ostatnia wieczerza jest czymś więcej, niż poruszającym spotkaniem przyjaciół, którzy wkrótce się rozstaną. Rzeczownik przetłumaczony w Mszale jako „ofiara" to po łacinie „hostia". Jest to pojęcie z dziedziny kultu, oznaczające składane w ofierze zwierzę – odnosi się ono zatem do przedmiotu ofiary, nie zaś jej aktu. W Starym Testamencie „hostią" był przede wszystkim baranek. W tym kontekście komuś obeznanemu z Biblią od razu nasunie się cały szereg skojarzeń. Już wcześniej w trakcie wielkoczwartkowej mszy, podczas pierwszego czytania, przypomniana została opowieść o baranku paschalnym, którego krew zapewniła Izraelitom bezpieczeństwo w noc przed opuszczeniem przez nich Egiptu, kiedy to Pan przeszedł przez całą krainę, gładząc wszystkich

pierworodnych: „Krew posłuży wam do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok" (WJ 12,13). Baranek ten nie był barankiem ofiarnym w ścisłym sensie tego słowa. Został on zabity jako *viaticum*, by wzmocnić ludzi przed wędrówką. Niemniej stanowił symbol zbawienia. Czasownikiem użytym przez Pana w Jego obietnicy przejścia obok domów Izraelitów było חָסַף, *pesach*. Właśnie od niego pochodzi nazwa uroczystości paschalnych w wielu europejskich językach: *pasqua*, *pâques*, *nacxa*.

Liturgia – funkcjonująca niczym rozbudowany poemat, w którym jeden symbol objaśnia kolejne – pozwala na subtelne nawarstwianie się sensów. Obraz Baranka Paschalnego, ukazywany nam o zmierzchu, zlewa się z wyobrażeniem innego baranka, przywoływanym w Wielki Czwartek o świcie podczas nabożeństwa ciemnej jutrzni, kiedy to responsorium trzeciego nokturnu sięga po niezwykle sugestywny tekst, pochodzący z Księgi Jeremiasza (11,19):

Ja zaś jak potulny baranek,
którego prowadzą na zabicie,
nie wiedziałem,
że powzięli przeciw mnie zgubne plany:
„Zniszczmy drzewo w pełni jego sił,
zgładźmy go z ziemi żyjących".

Oba baranki stanowią symbol Jezusa wydającego się w ręce swych wrogów. Oba odsyłają nas do tego Baranka, będącego ofiarą przebłagalną, którego podczas każdej mszy przyzywamy śpiewem: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami, obdarz nas pokojem".

Przeznaczony do konsekracji chleb jest w języku liturgicznym nazywany właśnie „hostią". Pod koniec akcji sakramentalnej kapłan unosi go, ogłaszając: „Oto Baranek Boży, który

gładzi grzechy świata, błogosławieni, którzy zostali wezwani na Jego ucztę". Tutaj obraz baranka ma już odmienną wymowę: teraz odnosi się on do triumfalnego Baranka, ukazanego też w ostatnim chórze oratorium *Mesjasz* – Baranka godnego otrzymać „potęgę i bogactwo, i mądrość, i moc, i cześć, i chwałę, i błogosławieństwo" (AP 5,12).

Obraz ten pochodzi z Apokalipsy. W tekście tym uwielbiony Chrystus zostaje przyrównany do Baranka, który – choć zabity – żyje na wieki, przyzywając swych wiernych na ucztę weselną tak, jak oblubieniec przyzywa swą oblubienicę (AP 19,7). Złożony w ofierze Baranek ostatecznie okazuje się Zwycięzcą, proponującym nam udział w Jego zwycięstwie. Określenie Eucharystii mianem *commemoratio huius hostiae*, „pamiątki tej ofiary", pociąga za sobą rozbudzenie całej gamy omówionych tu skojarzeń. Tym, co odsłania się przed nami na ołtarzu, nie jest jakieś jedno wydarzenie, ale całość zbawczego dzieła Chrystusa. Odmawiana podczas ofiarowania modlitwa potwierdza, że „ilekroć (…) obchodzimy pamiątkę tej ofiary, spełnia się dzieło odkupienia naszego". Ta ofiara jest skuteczna i przynosząca przemianę tu i teraz.

Fakt, że chodzi o aktualnie dokonywane dzieło, zostaje uwydatniony przez trzy dodatki do modlitwy eucharystycznej, wykorzystywane wyłącznie w Wielki Czwartek. Zgodnie z nimi obchodzimy wówczas „święty dzień, w którym nasz Pan Jezus Chrystus został za nas wydany" – dzień, „w którym nasz Pan Jezus Chrystus powierzył swoim uczniom odprawianie sakramentalnej ofiary Ciała i Krwi swojej". Później kapłan dodaje tę klauzulę również do słów ustanowienia: „On to w dzień przed męką za zbawienie nasze i całego świata, to jest dzisiaj, wziął chleb w swoje święte i czcigodne ręce". To liturgiczne „dzisiaj" wciąga nas w dynamikę opisaną również w przemowie Mojżesza, wygłoszonej naprzeciw Bet-Peor („Nie zawarł Pan

tego przymierza z ojcami naszymi, lecz z nami, którzy tu dzisiaj wszyscy żyjemy"). Tutaj jednak dynamika ta ma jeszcze większą moc ze względu na autorytet przysługujący akcji sakramentalnej.

Jak dowiadujemy się ze skierowanej do Ojca kolekty, „najświętsza Wieczerza" została dana Kościołowi przez „Jednorodzonego Syna". Jest Nim Syn Boży, „Bóg z Boga, światłość ze światłości", który przewodniczy uczcie sprawowanej w Wieczerniku. Wszystko, czego dokonuje Bóg, ma znaczenie wiekuiste. Dla Boga, dla którego tysiąc lat jest jak jeden dzień (PS 90,4), przeszłość i teraźniejszość nie stanowią oddzielnych przegródek, pozwalających uporządkować bieg wydarzeń, jak zwykle – choć nie zawsze – się nam to wydaje. Ci ludzie, którzy, jak twierdzą, mieli doświadczenie stanu bliskiego śmierci, często mówią, że w jednym momencie przemknęło im przed oczami całe ich życie, jakby obecne całe naraz. Niezależnie od tego, jakiego rodzaju fizjologiczne (i psychologiczne) czynniki za tym stoją, świadectwa te pozwalają nam domyślać się, jak może wyglądać życie z Bożej perspektywy. W trakcie liturgii, najbardziej jak tylko się da, zbliżamy się do patrzenia na świat tak, jak widzi go Bóg.

Skoro nacisk jest położony na performatywną obecność Chrystusa „dzisiaj", to również nasza odpowiedź na ten fakt musi być udzielona właśnie teraz. Już teraz musimy żyć inaczej, nie zasłaniając się dotyczącymi przeszłości wymówkami ani odnoszącymi się do przyszłości zastrzeżeniami. Zgodnie z terminologią wykorzystywaną w modlitwie odmawianej podczas ofiarowania, chodzi o to, by „godnie" uczestniczyć w liturgii.

Surowy realizm obrazu Baranek Boży *de Zurbarána (1635–1640) wpisuje się w szereg symbolicznych skojarzeń, zakorzenionych w umysłach osób obeznanych z teologią.*

FOT. MATHIEU CROISETIÈRE

Bycie godnym nie polega na byciu bez zmazy: Eucharystia nie jest nagrodą za dobre sprawowanie. Bycie godnym to decyzja na urzeczywistnianie we własnym życiu przykładu danego nam przez Chrystusa – decyzja na podążenie za właściwą mu nowością. Pan nie oczekuje od nas natychmiastowej doskonałości. Jednak wymaga konsekwencji w tym, jak żyjemy. Stonowanie tej zasady nie jest możliwe: „Jeżeli (…) przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam sobie przypomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim" (MT 5,23–24). Odmienne postępowanie oznacza celowe zapominanie, niezachowywanie „pamiątki" Chrystusa.

Sakrament stanowi zwierciadło, w którym możemy ujrzeć naszą twarz taką, jaka powinna ona być, zachowując w sobie Boże podobieństwo. Jednak zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy się zachowywać jak ten człowiek, którego nie bez pewnej żartobliwej ironii opisuje w swoim liście św. Jakub: „jeżeli (…) ktoś przysłuchuje się tylko słowu, a nie wypełnia go, podobny jest do męża oglądającego w lustrze swe naturalne odbicie. Bo przyjrzał się sobie, odszedł i zaraz zapomniał, jakim był" (JK 1,23–24). Bóg jest obecny w Eucharystii, by łaska mogła wniknąć nawet w nasz układ krwionośny. Jeśli uczestniczymy w liturgii godnie, pamiętamy o tym, czego dokonał Jezus. Pamiętamy, kim On jest i kim zawsze będzie oraz kim my sami możemy się stać. Modlitwa po komunii otwiera przed nami bezkresne perspektywy:

> Concede nobis, omnipotens Deus, ut, sicut Cena Filii tui reficimur temporali, ita satiari mereamur aeterna.

> Wszechmogący Boże, spraw, abyśmy posileni na doczesnej uczcie Twojego Syna, zasłużyli na pełne uczestnictwo w uczcie niebieskiej.

Odpowiedzenie „Amen" na fakt uobecnienia Chrystusowej ofiary w konsekrowanym Chlebie i winie jest wielkim oraz – przyznajmy – ryzykownym wyzwaniem. W pięknej formule recytowanej po cichu przed komunią kapłan prosi, by sakrament ten „skutecznie leczył jego duszę i ciało". By uzdrowienie to mogło się rozchodzić po całym naszym „ja" d z i ę k i s p o ż y c i u Eucharystii, musimy dać się j e j s t r a w i ć – dać się pochłonąć zbawczej rzeczywistości przez nią uobecnianej. Paul Claudel dotyka samego sedna tego paradoksu w swym poemacie prozą, *La Messe là-bas*:

> Le pain et le vin, nous savons ce que cela veut dire!
> Ce n'est pas pour rien que Vous avez créé l'homme capable de mourir!
> Il y a une voix en lui comme la mort et cela qui en lui tressaille et qui parle plus haut que l'avarice et le plaisir:
> C'est l'idée qu'on a besoin de lui, et qu'on le veut, et qu'il y a donc quelque chose à faire de lui, et il y a quelqu'un qui est capable de lui demander son être!
> Ça, il n'y pas un fils de la femme qui ne le comprenne, et c'est beau, et c'est cela même sans doute jadis qui l'a obligé â naître!
> Celui qui se croit maître de lui-même, c'est qu'il n'a jamais entendu l'appel terrible de la Patrie!
> Tous ces gens qui Vous refusent la foi, Seigneur, si Vous essayiez de leur demander la vie?

> Chleb i wino – wiemy, co oznaczają!
> Nie przypadkiem uczyniłeś człowieka zdolnym do umierania!
> Jest w nim głos niczym śmierć – coś, co wprawia go w drżenie i przemawia głośniej niż zachłanność i przyjemność:
> To przekonanie, że jest potrzebny, że jest chciany, że mimo wszystko do czegoś się przyda i że jest ktoś, kto może go poprosić, by złożył w ofierze dar z samego siebie!

Potrafi to pojąć każdy człowiek zrodzony z niewiasty i jest to piękne, i bez wątpienia do tego właśnie zobowiązuje go jego natura!
Jeśli ktoś sądzi, że jest panem samego siebie, to nigdy jeszcze nie usłyszał straszliwego wezwania Ojczyzny!
Wszyscy ci ludzie, Panie, którzy odmawiają Ci swej wiary: co gdybyś zaprosił ich do oddania własnego życia?

Dar Chrystusa obficie rozlewa się w życiu świętych. Kościół, jakby chcąc nam to pokazać, przypisuje introit Wielkiego Czwartku również świętu św. Franciszka z Asyżu, przypadającemu 4 października. Tego typu teologiczne stwierdzenie, poczynione za pośrednictwem melodii, jest bardzo znaczące. Pozwala ono, by nasza pamięć o *Poverello* była zabarwiona tonacjami właściwymi dla Wielkiego Tygodnia. Franciszek być może wyraźniej niż ktokolwiek inny pokazuje, na czym polega życie na podobieństwo Chrystusa. W introicie zostaje przywołany werset z Listu do Galatów (6,14): „Co do mnie, to nie daj Boże, bym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego, Jezusa Chrystusa". Ten właśnie fragment definiuje *Napomnienia*, skierowane przez Franciszka do jego braci – co więcej, definiuje on również życie samego Biedaczyny z Asyżu. Postać ta jawi się nam jako całkowicie spójna w swym człowieczeństwie i chrześcijaństwie. Może też się ona wydawać niezwykle od nas odległa. Franciszek nie tylko nosił na swym ciele znaki Chrystusowej męki, ale też oddziela nas od niego osiem wieków. Niektóre formy komunikacji, za których pośrednictwem go poznajemy – takie jak freski Giotta, tekst *Kwiatków* czy film Zeffirellego – mogą

utrudniać nam dotarcie do kryjącej się za nimi żywej istoty, wiodącej egzystencję podobną do naszej. Myśl o naśladowaniu świętego takiego jak Franciszek może wydawać się beznadziejna, jeśli nie wprost absurdalna.

Gdy zastanawiamy się nad tym, na czym w naszym przypadku ma polegać życie i postępowanie „na pamiątkę" Chrystusa, pożyteczne może być przyjrzenie się przykładom bliższym naszej niejednoznacznej rzeczywistości. Nekrolog opublikowany 2 maja 2014 roku w „Timesie" oddawał hołd takiej właśnie osobie: Maïti Girtanner, weterance francuskiego ruchu oporu. Dopiero w ostatnich latach życia opowiedziała ona o swych doświadczeniach z okresu II wojny światowej: najpierw wystąpiła w programie telewizyjnym, następnie zaś udzieliła długiego, spisanego w formie książki wywiadu Guillaume Tabardowi, redaktorowi naczelnemu „Le Figaro".

Maïti urodziła się w 1922 roku z matki Francuzki oraz ojca Szwajcara. Szwajcarska narodowość oraz znajomość języka niemieckiego odegrały istotną rolę w jej dalszych losach. Będącego konwertytą na chrześcijaństwo ojca utraciła w wieku czterech lat. Owdowiała matka zabrała dwójkę swych dzieci do Paryża, by wychować je w domu swych rodziców, Marie-Louise i Paula Rougnon. Rougnon – uczeń Césara Francka, będącego mistrzem Alfreda Cortota – już wcześniej przeszedł na emeryturę, opuszczając swą katedrę w Konserwatorium Paryskim, ale wciąż przyjmował uczniów w domu. Uznawano go za jednego z najlepszych nauczycieli muzyki tamtych czasów. Korzystająca z jego kierownictwa Maïti od dzieciństwa wiedziała, że pragnie zostać pianistką oraz że posiada potrzebny do tego talent.

Jeszcze przed wypowiedzeniem wojny cała rodzina opuściła Paryż, udając się do swego majątku w Bonnes – mieście położonym nad rzeką Vienne, w pobliżu Poitiers. W czerwcu 1940 roku do miejscowości tej wkroczyła armia niemiecka.

Dom Rougnonów został zarekwirowany na kwaterę oficerską. Bonnes znalazło się na skraju terytorium okupowanego. Zaraz za rzeką rozciągała się ziemia niczyja, za którą rozpoczynała się wolna strefa, kontrolowana przez rząd Vichy. Wkrótce Maïti zajęła się przemytem uciekinierów przez granicę stref. Prowadziła coraz szerszą działalność i związała się z miejscowymi komórkami ruchu oporu. Ze swej młodości oraz dwujęzyczności uczyniła tarczę ochronną. Z czasem do tego celu zaczęła wykorzystywać również talent pianistyczny. Występy dla niemieckiej elity stwarzały jej okazję do zbierania potrzebnych informacji oraz wstawiania się za aresztowanymi towarzyszami. Choć Maïti bardzo starała się podtrzymywać pozory, że jest tylko naiwną dziewczyną z dobrej rodziny, jej działalność była coraz bardziej kontrolowana. Pewnego wieczoru w październiku 1943 roku została aresztowana i zabrana na aleję Focha do siedziby gestapo, gdzie poddano ją pierwszym przesłuchaniom. Następnie została wysłana z czwórką innych więźniów do domu znajdującego się w tym zakątku Europy, gdzie nad Atlantykiem Francja styka się z Hiszpanią. Maïti pozostała tam cztery miesiące, poddawana wyrafinowanym metodom tortur.

Więźniom – początkowo w liczbie prawie dwóch tuzinów – nie wolno było ze sobą nawzajem rozmawiać. Często brano ich w krzyżowy ogień pytań. Zadawane im fizyczne tortury stanowiły środek karny. Nadzorował je pewien młody doktor, a polegały one na metodycznym obijaniu pałką podstawy kręgosłupa. Na zewnątrz nie zostawiały większych śladów, jednak wyrządzały ogromne szkody wewnętrzne. Ciosy uszkadzały rdzeń kręgowy oraz centralny system nerwowy. Wskutek każdej takiej sesji Maïti doznawała wręcz paraliżującego bólu. Widziała, jak jej towarzysze i towarzyszki umierają po tych torturach; co najmniej jedna z osób popełniła samobójstwo.

W lutym 1944 roku Maïti nie była już w stanie utrzymać się na własnych nogach i doznała załamania nerwowego. Śmierć wydawała się niezbyt odległa. Tym, co przyniosło ocalenie, była misja ratownicza, przeprowadzona pod egidą szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Maïti trafiła do szpitala i została otoczona opieką, jednak wyrządzone jej ciału szkody okazały się nieodwracalne. Przez resztę życia cierpiała na chroniczne bóle. Nie mogła powrócić do gry na fortepianie. Wiedziała, że nie ma dość sił, by założyć rodzinę. Spędziła życie, udzielając korepetycji oraz angażując się w działalność dobroczynną, wierna swemu powołaniu jako dominikańskiej tercjarki. Zmarła 28 marca 2014 roku w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

Gdyby nie dało się nic więcej powiedzieć na temat Maïti Girtanner, jej dzieje należałoby uznać za heroiczne, ale bardzo podobne do losów niezliczonych ludzi, których życie zostało naznaczone wojną. Tym, co wyróżnia Maïti, jest jej duchowa wytrwałość, niezłomna determinacja, by nadać chrześcijański sens swojej doli i przeżyć ją w pełni chrześcijańskiej prawości. Niedługo po wojnie sformułowała dla samej siebie następujący program: „Nie będę postrzegała swego życia jak tragedii". Dotrzymała tego postanowienia co do joty.

W dzieciństwie Maïti często słyszała, jak jej dziadek od strony matki określa następujące kryteria rozeznawania: „Najpierw należy poznać, potem zrozumieć, a wreszcie rozsądzić". Z kolei po rodzinie ze strony ojca odziedziczyła motto: *Oser et tenir bon* – „Ośmiel się i bądź wytrwały". W niewoli trzymała się obu tych zasad. Starała się pochwycić w zrozumiały dla siebie sposób wyrządzane jej krzywdy, wyrywając te doznania z odmętów chaosu; była zdecydowana nie dać się złamać. We wszystkim tym kierowała się wiarą. Jej działalność w ruchu oporu wyrastała z poczucia obowiązku. To samo poczucie podtrzymywało ją podczas pobytu w więzieniu.

Maïti wzięła na siebie odpowiedzialność moralną za dobro współwięźniów. Wbrew wydanemu przez strażników nakazowi milczenia, odzywała się do swych towarzyszy i zachęcała ich do rozmów między sobą, bowiem „człowiek jest nade wszystko istotą wyrażającą swoje myśli". Nie zgadzała się na tłumienie człowieczeństwa. W kontaktach z torturowanymi mężczyznami i kobietami, znajdującymi się na skraju śmierci, dawała świadectwo swojej wierze. Opowiadała o życiu wiecznym, opisując je jako „pewność dotarcia do naszego prawdziwego celu, wreszcie zyskania wiedzy na temat tego, dlaczego oraz – przede wszystkim – dla kogo zostaliśmy stworzeni".

Wzięła na siebie odpowiedzialność za własne zdrowie psychiczne. Gdy pytano ją, jak udawało się jej wytrzymać ból ogarniający całe ciało, Maïti odpowiadała: „Opierałam się mu w swym umyśle". Podtrzymywała w sobie pewność, że rozmaite wątki jej aktualnego życia splatają się w pewną opowieść, która z czasem odsłoni swój sens, a może nawet okaże się w pewien sposób piękna. Wiedziała, że „dopóki mogła kierować własnymi myślami, dopóki potrafiła się modlić, dopóty odnosiła zwycięstwo". Przykład Chrystusa dodawał jej sił. Trzymała się przekonania, że opatrzność czuwała nad doznawanym przez nią bólem, skoro nawet On „musiał" cierpieć.

Wreszcie wzięła na siebie odpowiedzialność za swych dręczycieli. Chrystusowy nakaz wybrzmiewał w jej wnętrzu jak niepodważalny imperatyw moralny:

> „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują (…). Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią?" (MT 5,44.46). Te słowa Jezusa stale we mnie żyły podczas mego pobytu w niewoli, i to nawet w tych momentach, gdy ból osiągał stopień, jakiego wcześniej nie znałam

> ani nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić. Za łaskę uznaję fakt, że od początku zawładnęło mną to słowo życia i że nie poddałam się myślom niosącym śmierć.

Maïti podjęła się modlitwy za osoby ją torturujące, w tym zwłaszcza za doktora, który nadzorował całe to okrucieństwo. „Już wówczas głęboko we mnie zrodziło się pragnienie ujrzenia go zbawionym". Pragnienie to bynajmniej nie miało sentymentalnego charakteru. Z perspektywy czasu nabrało ono budzącej trwogę jasności: „W moim przypadku pragnienie, by dostąpił on zbawienia, było zarazem pragnieniem, by zostało pokonane to zło, które nosiłam w samej sobie i którego byłam winna".

Po wyzwoleniu rozpoczęły się nowe zmagania. Maïti musiała zmierzyć się z rzeczywistością, która kontrastowała nie tylko z życiem, jakie wiodła przed wojną, ale również z nadziejami na przyszłość:

> Cierpienie było dla mnie nie tyle czymś przejściowym, co stanem permanentnym. Z takim faktem bardzo trudno się pogodzić. Zawsze żywimy nadzieję, że nasze rany się zabliźnią. Spodziewamy się, że uda nam się „zacerować" swoje życie. W moim przypadku było inaczej. Po prostu musiałam, nie z własnego wyboru, oprzeć życie na nowych podstawach.

Tęsknota za muzyką była bardzo dotkliwa. Przez jakiś czas terapia dawała nadzieję, że Maïti ewentualnie mogłaby któregoś dnia powrócić do gry na fortepianie. Tak się jednak nie stało. Kobieta zrozumiała, że musi rozpocząć w życiu nowy rozdział, że nie może „próbować wyrwać z dłoni losu tego, co musiała w całości oddać". Decyzja o uczynieniu daru z tego, co zostało jej zabrane, była przełomowa. W Maïti zrodziła się pewność: „nie musiałam żywić nostalgii za tym, czym kiedyś

byłam albo czym mogłabym się stać. Zamiast tego musiałam pokochać to, kim jestem, oraz próbować zrozumieć, kim powinnam być". Porzuciła plany na życie sformułowane w trybie przypuszczającym, zamieniając je na te dające się wyrazić w trybie oznajmującym. Maïti stanowczo stwierdza: „Była to długa podróż. Nic nie dokonało się z dnia na dzień. Ale tak właśnie jest zarazem z odkupieniem, jak i z każdą bitwą".

Bardzo zależało jej na tym, by wybaczyć. Złem, które chciała zwalczyć w samej sobie, była między innymi skłonność do żywienia urazy, do ciągłego pamiętania o krzywdach. Jej ciało nigdy nie pozwoliło jej zapomnieć o doznanych cierpieniach. Mimo to Maïti nie chciała przyjąć sposobu myślenia właściwego Lamekowi. Stoczywszy już w sobie tę walkę, pod koniec życia sformułowała następującą, poruszającą refleksję nad Chrystusowymi słowami dotyczącymi Judasza: „Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził" (MK 14,21):

> Trzydzieści lat temu odczytywałabym to zdanie jako wyraz potępienia. Jednak z czasem – może dzięki łasce, a może dzięki temu, że z biegiem lat łagodnieję – zaczęłam dostrzegać, że Jezus daje w nim świadectwu swemu współczuciu: „Ależ to potworne! Jaka szkoda, że ten człowiek popadł w tak straszny stan!".

Za swe główne zadanie Maïti uznała wcielanie w życie tego coraz lepiej pojmowanego współczucia. Modliła się o umiejętność przebaczania z całego serca, o wykorzenienie z siebie wszelkiego rozgoryczenia. Zrozumiała jednak, że nie da się tego dokonać jednostronnie: „Przebaczenie nie następuje na poziomie abstrakcyjnym – potrzeba kogoś, ku komu będzie ono skierowane, oraz kogoś, od kogo można je przyjąć". Pragnęła przebaczać, ale nie mogła zignorować pytania: „Czy n a p r a w d ę przebaczyłam?".

Nieoczekiwany sprawdzian tego nadszedł w 1984 roku. Z Maïti skontaktował się lekarz odpowiedzialny za opracowanie czterdzieści lat wcześniej tortur, które zniszczyły jej życie. Teraz u tego będącego już w podeszłym wieku mężczyzny zdiagnozowano śmiertelną chorobę. Obawiając się śmierci, przypomniał sobie to, co Maïti mówiła o wieczności, i zapragnął dowiedzieć się, czy nadal tak sądzi. Kobieta potwierdziła, że jest przekonana o istnieniu życia wiecznego. Rozmowa zeszła na temat ich poprzednich spotkań oraz skutków, jakie miały one dla niej. To pozwoliło gościowi błagać Maïti o przebaczenie, ona zaś mogła tego przebaczenia udzielić. Gdy mężczyzna schylił się ku niej (tamtego dnia, w wielkim bólu, spoczywała ona na kanapie), ujęła jego głowę w dłonie i pocałowała go w czoło. Jak później podkreślała, gest ten nie był wcześniej zaplanowany, lecz „trzeba było go wykonać". Zauważyła, że człowiek, gdy przekona się o prawdziwości swego przebaczenia, „nie jest już taki sam". Zgodnie z jej słowami podobnej przemiany doznał jej gość.

Świadectwo złożone przez Maïti Girtanner bywa nieraz podważane. We wstępie do swej książki Guillaume Tabard przywołuje krytyczne względem niej głosy. Zarazem jednak wskazuje, że spotkał się z osobami potwierdzającymi jej relację. Celem jego książki nie jest „kanonizowanie" Maïti, podobnie jak nie miała takiego zamiaru ona. Girtanner podkreśla, że okoliczności z perspektywy czasu wydające się jednoznacznymi, bynajmniej takie wówczas nie były: „W gorączce wydarzeń najtrudniej jest dokonać sprawiedliwej oceny sytuacji. Sama się o tym przekonałam". Pamięć jest procesem osobistym, a zatem subiektywnym. Tym bardziej istotne jest, by była kolektywnie pielęgnowana. Być może nigdy nie poznamy w pełni losów Maïti jako uczestniczki ruchu oporu – była ona jedną z ostatnich osób swojego

pokolenia. Natomiast tym, co nie podlega wątpliwości, jest jej konsekwentna determinacja, by uczynić z Chrystusowej męki nie tylko przedmiot pobożnych rozważań, ale również wzór, według którego buduje się swe życie. Przeczytawszy po raz kolejny końcowe rozdziały Ewangelii Marka, Maïti zauważyła: „głównym wątkiem, przewijającym się w opisie męki, śmierci i zmartwychwstania, jest otwartość. Rzuca się to w oczy tym bardziej że symbolem zamkniętości jest grzech. Otwartość przezwycięża zamkniętość". Z tego zaś Maïti wyciągnęła następujący wniosek: „Życie zamknięte w samym sobie nie przynosi żadnych owoców". To inteligentne, mające egzystencjalny charakter podsumowanie Chrystusowej ofiary. Opisuje ono dynamikę, na mocy której ziarno przebaczenia może pęknąć, zakiełkować, urosnąć i wydać swój siedemdziesięciosiedmiokrotny plon. Ukazuje powolne dojrzewanie odwagi, koniecznej do przyjęcia zbawczej łaski Chrystusa oraz skorzystania z niej. Do tego celu warto dążyć, nawet jeśli wymaga on czterdziestoletniej wędrówki przez pustynię.

Ta książka jest pocieszeniem i zapewnieniem, że życie ludzkie, wbrew temu, co często słyszymy, nie oznacza: „jesteś skazany na samotność". Przeciwnie, chrześcijaństwo to droga powrotu do komunii z Tym, który pamięta o nas od zawsze i nieustannie – i nie godzi się na naszą samotność. Ojciec Erik Varden z wielką erudycją, a jednocześnie z delikatnością, analizuje kondycję człowieka, w centrum stawiając „pamiętanie". Przywołuje historie z Biblii, by uzmysłowić nam, że celem ludzkich zmagań jest niebo – i że nie jesteśmy na naszej drodze sami.

Cena det. 37,90 zł

ISBN 978-83-7906-534-9

9 788379 065349

wdrodze.pl

Patronat medialny:

dominikanie.pl

Gość Niedzielny · idziemy · Przewodnik Katolicki · Wanna ważniejsze · w drodze miesięcznik · Aleteia.pl · misyjne.pl · Opoka · Emaus dobre radio · Radio Nadzieja · Radio DDX · Siódma 9